PRZYIACIEL DZIECI



Nr. 13. Cieszcie się lubym wiekiem, bo prędko uleci, Wesoło lecz na dobre użyjcie go, dzieci. **1. Lipca.**

Wielki piątek.

(Dokończenie.)

— Dziś jest zbyt gorąco, rzekł nazajutrz ks. Teodor do zgromadzonych dzieci, więc chodźmy do ogrodu, tam na świeżem powietrzu będzie wam przyjemniej słuchać nauki.

I ruszyli wszyscy na ogród do tej dużej altany, o której wspomnieliśmy wyżej, i w niej zasiadł sobie nasz kochany ksiądz Teodor a w około niego dzieci wszystkie i czekały spokojnie co też dziś nowego usłyszą?

Właśnie miał już zaczynać naukę gdy wszedł służący i oznajmił że wzywają księdza proboszcza do sąsiedniej wioski do chorego.

Późno już w nocy powrócił ksiądz Teodor od chorego, a nazajutrz raniutko udał się w dalszą podróż z oznajmieniem że aż za kilka dni powróci, zaleciwszy swemu wikaremu aby tymczasem miał pieczę nad tym chorym, do którego wczoraj jeździł.

Po drodze sam raz jeszcze wstąpił do niego, jeszcze długo z nim mówił, poczem w dalszą pojechał drogę.

W czasie jego niebytności chory ten umarł.

W dziesięć dni dopiero powrócił ksiądz Teodor, lecz nie sam. Przywiózł z sobą staruszka w siermiędze, z brodą siwą po pas prawie. Posłał z zaproszeniem do pana Władysława, i zawezwał dzieci wiejskie aby się zgromadziły do szkółki. Państwo Władysławowie przyszli z swoimi synkami, ksiądz Teodor powitał ich serdecznie; ale nie uszło uwagi Władysława że ksiądz jest bardzo rozrzewniony i uradowany.

— Czytam w twoich oczach, kochany Teodorze, że ci się powiodła szczęśliwie twoja podróż — widzę to w twojej rozpromienionej twarzy.

— Tak, mój drogi przyjacielu, odrzekł ksiądz Teodor, zaraz dowiesz się o wszystkiem, a teraz bądźcie łaskawi pójść do ogrodu do naszej ulubionej altany — a ja za chwilkę pospieszę do was.

Niebawem zgromadzili się zawezwani wieśniacy i dziatwa. Państwo Władysławowie usiedli w altanie. Kazali obok siebie zasiąść poważniejszym gospodarzom i rozmawiali z nimi.

Wkrótce nadszedł ksiądz Teodor prowadząc pod rękę tego staruszka, który z nim przyjechał. Był on już pochylony wiekiem, w odzieniu chłopskiem. Wszystkich oczy zwrócone były na wchodzących.

Ksiądz Teodor odezwał się do przytomnych:

— Oto jest mój ojciec — Kiedy przed kilkunastu dniami byłem wezwany do pobliskiej wioski do chorego — był to umierający cygan, któren na łożu śmiertelnem wyznał mi że o kilkanaście mil ztąd, lat temu trzydzieści, skradł u włościanina pewnego dziecię, które miał zamiar podchowawszy za lat parę sprzedać wędrującym skoczkom. Gdy uciekając z tamtej okolicy uszedł mil kilkanaście, zasłabło to dziecię; on widząc je chore a obawiając się kłopotu gdyby umarło, położył je na kupie kamieni przy gościńcu. Właśnie w tej chwili nadjechała bryczka — było to w sam wielki piątek, a jadący nią spostrzegli że coś leży na kamieniach i stanęli. Cygan schował się w rów i widział wszystko co się działo.

Młody chłopczyk wyskoczył z bryczki — wziął to dziecię — przyrzekł w uniesieniu dobroci swojej być mu bratem, opiekunem, ojcem, matką i dotrzymał.

— Tym młodym chłopczykiem, obracając się do Władysława mówił dalej ksiądz Teodor: Ty byłeś drogi przyjacielu — tem biednem dziecięciem, obracając się do zgromadzonych rzekł, ja byłem.

Wszyscy z rozrzewnieniem słuchali słów księdza.

Staruszek stał obok syna, łzy potokiem spływały po zoranych wiekiem policzkach, przystąpił do Władysława i rzekł:

— Bóg ci zapłać dobry panie — Niech na twoich dzieciach Bóg ci nagrodzi tę pociechę, której ja starzec nad grobem z twojej łaski doznaję.

Ukląkł staruszek, wzniósł oczy i ręce do nieba i zawołał:

— Boże! wysłuchałeś modłów grzesznego sługi twego — pozwoliłeś mi jeszcze oglądać dziecię moje.

Władysław podniósł staruszka, ścisnął go za rękę, mówiąc:

— Bóg was kocha kiedy wam takiego dał syna — takim synem każdy by się chlubił — takim przyjacielem ja się

szczycę — szczęśliwi parafianie, których Bóg takim obdarzył pasterzem!!

Ksiądz Teodor był do łez wzruszony — a zwracając się do zgromadzonych włościan i dzieci, rzekł:

— Patrzcie kochani bracia, jak nie długo czekaliście aby Bóg łaskawie okazał w przykładzie prawdę słów moich wedle nauki Chrystusa. W czynie waszego dziedzica widzicie miłość bliźniego, z którą on mię sierotkę znalezionego przyjął za brata — wychował nie szczędząc kosztów — przytulił do serca jak brata a dziś zaszczyca swoją przyjaźnią. Oto jest prawdziwa miłość bliźniego; takiej miłości wzór Chrystus nam zostawił. Powtóre zaś macie tu także przykład że nauka i dobre zachowanie prowadzą do nabycia praw obywatelskich i szacunku u ludzi — wszakże ja z waszego rodu, syn chłopa — a przecie widzicie że to nie osłabia przyjaźni dla mnie waszego dziedzica. Niech to was nauczy poznać w czem leży godność człowieka i jakim sposobem zrównamy się wszyscy w obec świata *J. z Pakoszów.*

RUBELEK TESI.

Maj, wiosna, w około
Pogodnie, wesoło,
Zielono, błękitnie!
Co kwiatek to kwitnie,
Co ptaszek, to śpiewa,
Gaj, pola i drzewa
Brzmią w kolej, jak tony
Tejż pieśni i strôny.

I oto w ogródku
Po kwiatach, w drzew chłódku,
Śród pląsów, igraszek,
Jak kwiatek, jak ptaszek

Tesiutka, malutka,
Swawolna filutka
To spiewa, to biega,
Aż sad się rozlega
To piosnką, to śmiechem,
To kroków jej echem!

A na ganku, jak co ranku,
Za wczorajszą w polu pracę
Robotnikom najemnikom
Ojciec siedząc dzieli płacę.

Postrzegła
Przybiegła
J obces do Taty:
— „Jaki ty bogaty!
„Dajże i mnie proszę
„Choć grosz, choć trzy grosze.
— A za co? — Ej Tato!....
— A na co? — Ot, na to,
Na włóczki, koralki,
Na różne zabawki,
Na suknię dla lalki,
Obróżkę dla Żwawki.

I nagle jak sroczka
Porwała rubelka,
I rada z figielka
Uciekła jak skoczka.

Po godzinie ojciec słucha
W całym sadzie cisza głucha,
Nikt nie skacze, nikt nie spiewa..
Gdzież to Tesia? W cieniu drzewa
Twarz na dłoni, dłoń na ręku
Siedzi wsparta — z rublem w ręku.

Siedzi, myśli, co za niego
Kupić komu, wiele, czego?
Suknię niani? rubla mało —
Suknię lali? jaką? białą?
— Nie — zieloną? Tę już ma —
Żółtą, nie — fe żółtą, żółta zła —
Więc różową, czy błękitną?
Ale całą aksamitną!
Lecz czyż na to rubla dosyć?

Można Tatę znów poprosić...
Ale kto wie — da czy nie da?
Wreszcie z Tatem mniejsza bieda,
Ale mama... czuję sama
Że dziś z mamą przed śniadaniem
Nie najlepiej poszła gama,
Jak po grudzie szło z czytaniem,
Mama powie, Tata... kto wie?
A nuż może każe sobie
Oddać nawet co dał — Bieda!
Co tu począć? — Główkę skrobie,
Sama sobie rady nie da —
No! toż nie chcę nic kupować —
Rubla schować — a gdzie schować?
Skrzynki nie mam. Ancia mówi
Że najłatwiej złodziejowi
Przyjść i ukraść — No to włożę
Pod poduszkę... A jak może
On z łóżeczkiem mię wyniesie!
Ach! i dalej w płacz żałośny:
— Ach, ty rublu! ty nieznośny!
Co ja muszę cierpieć za cię —
Precz odemnie! oddam ja cię!

Już chce skoczyć i znów stoi —
Spuszcza główkę, znów coś roi;
Żal rubelka — jak się odda
Już go potem nie odebrać!
Chować kłopot, stracić szkoda,

Ach! najlepiej było nie brać!
Lecz co robić wziąwszy już?
Gdy tak duma — Anioł-stróż,
Stróż jej myśli i serduszka,
Zlitował się i do uszka
Szepnął z cicha: Bież do mamy!
Tam jest mądrość, tam skarb dzieci!
Nie doradzisz sobie samej,
Aż Bóg przez nią nie oświeci.

Tesia cała zczerwieniała,
Nie wie że to głos anioła,
Czuje tylko że się stała
Znów spokojna i wesoła,
I do mamy. . .

Aż u bramy
Mama z jakąś biedną gada,
Co wpólnaga wsparcia błaga,
O swych dziatkach rozpowiada:
Ma ich czworo, jednę chorą;
Dwoje z głodu mrze bez chleba. . .
Żal zdjął Tesię; rubla niesie,
Wie już co z nim zrobić trzeba —

I gdy mama i uboga
I Anioł-stróż w tejże chwili
Z rozrzewnieniem w imię Boga
Wszyscy ją błogosławili;
Anioł stróż tchnął w jej sumienie
Naukę na całe życie:
Że szczęście daje nie mienie,
Lecz dobre mienia użycie!

A. E. Odyniec.

Obrona Częstochowy.

Straszno pomyśleć jakie to okropne nieszczęścia wstrząsały Polską za panowania króla Jana Kazimierza! Na jednym krańcu Kozak roznosi pożogi, szeroką łuną przyświecając sobie do mordów i rabunku, na drugim Szwed zapala pochodnię wojny, i już przemocą, już podstępną namową łamie wszystko co mu opór stawiać zamyśla. Była to chwila okropnego przesilenia!! Jana Kazimierza nie ożywiał duch Piastów i Jagiellonów, a nawał klęsk, które naraz spadły na Polskę, zachwiał dawną jej potęgę i pochylił ją do upadku. Szwedzi, podmówieni przez zdrajcę Radziejowskiego, wpadli jak piorun do Polski, i nie wiele potrzebowali czasu aby zagarnąć całą Wielkopolskę. Król szwedzki Karol Gustaw, człowiek młody, odważny, zapalony żądzą sławy i zwycięstw, upojony marzeniami dumy, szablą i podstępem torował sobie drogę i coraz dalej posuwał się w głąb kraju. Król Jan Kazimierz zostawił ojczyznę na łasce wroga i Opatrzności boskiej i wyjechał z żoną i całym dworem na Szląsk..

Bez króla na czele cóż miał czynić naród sierota? Wielu było takich co zwątpili zupełnie o ocaleniu ojczyzny; Szwedzi prawie bez dobycia oręża opanowali większą część kraju, i nikt nie śmiał im stawić oporu, wszystko korzyło się przed żelazną ręką dumnego najezdzcy, bramy grodów i miast same otwierały się przed nim, połowa szlachty w ostatecznem zgnębieniu już Karola Gustawa miała za króla polskiego, a nie było Kazimierza coby zawołał „Do broni! Na koń!“ i w imię ojczyzny pociągnął za sobą tłumy do walki w najświętszej sprawie. Całą nadzieję pokładał naród w nieograniczonem miłosierdziu boskiem i nie zawiodła go ta nadzieja. W Częstochow-



Ks. Kordecki broni Jasnej Góry.

skim klasztorze OO. Paulinów na Jasnej górze, pod opiekę Matki Najświętszej uciekło się wiele szlachty z okolicy z żonami i dziećmi, i podczas gdy cała prawie Polska była już w ręku wrogów, jedna Częstochowa trzymała się jeszcze, i ani myślała o poddaniu. Gniewało to dumnego króla szwedzkiego że garstka zakonników zamierza stawiać mu opór, i wysłał część wojska pod dowództwem jenereła Millera z rozkazem zdobycia Częstochowy. Zaczęło się oblężenie dnia 8. listopada 1655 r. Dowódzca szwedzki Wejchard z czterma tysiącami wojska stanął pod murami klasztoru i żądał aby mu go poddano. Ksiądz Augustyn Kordecki, przeor, odpowiedział odważnie że nie uczyni zadosyć temu żądaniu. Zagrały szwedzkie armaty i kościół św. Barbary pod Jasną górą stojący zgorzał. Zakonnicy przygotowali się do długiej i uporczywej obrony, tymczasem nadciągnął jenerał Miller z dziewięcioma tysiącami Szwedów, otoczył klasztor i groził że w trzech dniach zamieni go w stos gruzów i rumowiska, jeśli zakonnicy nie poddadzą się dobrowolnie i króla szwedzkiego nie uznają za pana.

Ksiądz Kordecki pokładając nadzieję w Opatrzności boskiej, bynajmniej nie przeraził się tą groźbą, i podczas gdy Szwedzi, oburzeni jego stałością, zaczęli gotować się do szturmu, on przy odgłosie dzwonów odprawiał uroczystą procesję po wałach fortecznych. Szwedzi rozpoczęli ogień działowy, który trwał przez trzy dni i trzy nocy bez przerwy, a był tak gęsty iż zdawało się że z kościoła i klasztoru nie zostanie kamień na kamieniu. Ale załoga klasztorna odstrzeliwała się dzielnie, a przezorny ks. Kordecki rozstawił strażników po dachach aby czem prędzej ogień gasili, jeżeli się zajmie. — Wielkie były zasługi, wielka przytomność umysłu ks. Kordeckiego w kierowaniu obroną klasztoru, ale więcej tu znaczyła łaska Najświętszej Panny, królowej polskiej która płaszczem opieki swojej go zasłaniała, i nie dała zginąć garstce wiernego ludu — Kule szwedzkie odbijały się od murów klasztornych i wracały tam zkąd je wypuszczano, straszne zniszczenie roznosząc w szeregach nieprzyjacielskich, te zaś które dostawały się wewnątrz, nie szkodziły

naszym wiele. Miller rozjątrzony srożył się coraz bardziej, ale się to na nic nie przydało. Widząc więc że klasztor nie tak łatwo zdobyć jak się zdawało, a nie chcąc ze wstydem odstąpić od oblężenia, nuż posłów wyprawiać do kiędza Kordeckiego, łudząc go różnemi obietnicami i namawiając do poddania się królowi szwedzkiemu. Wtem podkrada się pod mury klasztoru Jacek Brzuchański, mieszczanin Częstochowski, i przerzuca list do księży z Krakowa, ostrzegający aby się klasztor nie poddawał, gdyż Szwedzi nigdy nie dotrzymują obietnic, i lepiej zaufać miłosierdziu Boga i Boga Rodzicy jak jenerałowi Millerowi. Ale ksiądz Kordecki wcale o poddaniu się nie myślał, zwłaszcza zasiągnąwszy wiadomości z kraju, że naród, widząc cudowną opiekę NMP. nad klasztorem Częstochowskim, zaczyna coraz skrzętniej radzić o sobie.

Owoż jenerał Miller znowu otrzymał odmowną odpowiedź, czem rozjątrzony do najwyższego stopnia, nawet posłów ks. Kordeckiego puścić nie chciał i śmiercią im groził, a zaopatrzywszy się nanowo w amunicję i działa, począł miotać na klasztor jeszcze rzęsistszym ogniem. Oblężenie przeciągało się od dnia do dnia, od miesiąca do miesiąca, nadeszła zima a z nią mrozy straszne; tymczasem odsieczy nie widać a Szwedzi pod murami stoją, i przypuszczają szturmy coraz gwałtowniejsze — Już między ludźmi słabszej wiary w klasztorze Częstochowskim zakradać się poczęło zwątpienie i rozpacz; ks. Kordecki jednak górował nad wszystkich męstwem i poświęceniem i zachęcał wszystkich do wytrwałości. Nadeszło Boże Narodzenie — Ledwo się skończyło nabożeństwo, jenerał Miller przypuścił tak gwałtowny i zacięty szturm że się zatrzęsły mury klasztoru, i pewnie byłyby runęły gdyby nie widoczna łaska Pana Boga. Owoż i tym razem atak był bezskuteczny, ale też i ostatni, bo Szwedzi przekonawszy się że wszystkiemi siłami swemi nie zdołają zdobyć warowni, widząc w swoich szeregach ogromne spustoszenie, odstąpili ze wstydem od oblężenia.

Jasna Góra zabrzmiała hymnami dziękczynnemi! Cudowna obrona Częstochowy nie tylko tych uratowała co w mu-

rach klasztornych szukali schronienia, ale była zarazem hasłem do wyparcia najeźdzców. Naród zaczął kupić się w szeregi, pod sztandarem ojczystym, a wiekopomny Czarniecki dokonał reszty. Szwedzi opuścili Polskę, a dumny Karol Gustaw miał sposobność doświadczyć jak zmienną koleją toczy się szczęście wojowników.

Imię księdza Kordeckiego, co zdawszy się na Opatrzność Boską nie stracił wiary w świętość sprawy, której bronił, i z całą przytomnością umysłu, odwagą i poświęceniem szykował szczupłą załogę na murach klasztornych, a przykładem swoim porywał i zapalał upadających na duchu wojowników, po wiek wieków cała Polska wymawiać będzie zawsze z największem uszanowaniem, jako imię najzacniejszego kapłana i prawego Polaka.

Przed kilką dopiero lat w Częstochowie postawiono pomnik księdzu Augustynowi Kordeckiemu. Na wyniosłym postumencie stoi posąg kapłana z krucyfiksem w ręku, w postaci spokojnej, z wzrokiem wzniesionym ku niebu, jakby się modlił lub dumał na losem swojej ojczyzny.

ZNACZNIEJSZE MIEJSCA KRAJOWE.

DZIKÓW.

Dwanaście mil od Rzeszowa leży Dzików, majętność hr. Tarnowskich, w powabnem nad brzegiem Wisły położeniu.

Pyszny zamek otoczony jest jak najpiękniejszym ogrodem, bogatym w zagraniczne krzewy, i starannie utrzymanym. Opodal wznoszą się domki miasteczka Tarnobrzegu a z przeciwnej strony Wisły, na sterczących wzgórzach, rysują się poważne mury Sandomierza.

Niegdyś należał zamek Dzikowski, wraz z dobrami przyległemi, do znakomitej rodziny Ligenzów, od nich przeszedł przez połączenie rodowe do Tarnowskich, którzy go przebudowali i znakomicie ozdobili. Szczególnie w ostatnich czasach staraniem kasztelana Jana Tarnowskiego, męża niepospolitej nauki, i żony jego Walerji, osoby znakomitej wykształceniem i wysokiemi zaletami serca i umysłu, zamek Dzikowski stał się przybytkiem nauk i sztuk pięknych.

Właściciele nie szczędzili niezmiernych kosztów aby zgromadzić tu liczną bibljotekę, najrzadsze druki, rękopisma, pamiątki odnoszące się do dziejów krajowych — najpiękniejsze malowidła, rzeźby i dzieła sztuki. Po Puławach był to jedyny przybytek gdzie gromadziły się rozpierzchłe rzeczy ojczyste, zbierane z zamiłowaniem i troskliwością. Dzików ze względu na znakomity księgozbiór, muzeum, zbiór monet i przeróżnych osobliwości, należy do najciekawszych i najpiękniejszych miejsc kraju naszego.

Dawną bibljotekę powiększyła książnica Juszyńskiego, rzadkie księgi z opactwa Oliwskiego i Prus, i część księgozbioru Stefana Batorego, wynaleziona i ochroniona od zagłady. Na okładkach książek znajdują się herby Zygmuntów, królów polskich, Jana, księcia Finlandzkiego i Stanisława Augusta. Księgozbiór, zbogacony takiemi nabytkami, składa się kilkunastu tysięcy dzieł, pomiędzy któremi przeszło ośm tysięcy ksiąg polskich lub do piśmiennictwa polskiego odnoszących się.

Pierwotne druki słowiańskie i polskie pierwszych krakowskich, lwowskich i warszawskich drukarzy znajdują się tu także. Nieocenionym skarbem dla literatury jest zbiór rękopisów. Ponieważ Tarnowscy od najdawniejszych czasów, najważniejsze w kraju piastowali urzędy, i posłudze Rzeczypospolitej oddawali się w domu i za granicą, więc zostawali w stosunkach ciągłych i korespondencji z najznakomitszymi ludźmi w Europie, a ztąd w ich archiwum przechowała się wielka liczba oryginalnych listów królów naszych, uczonych i sławnych

mężów i wiele rzadkich dokumentów, będących nieocenionym skarbem dla badacza dziejów.

Nakoniec znajduje się tam kosztowny zbiór rysunków ręcznych włoskich i flamandzkich malarzy, ryciny i albumy z pracami rodaków naszych Smuglewicza, Orłowskiego, Płońskiego i innych, tudzież szereg posągów w marmurze, lub wyciskach i odlewach, najpierwszych mistrzów.

Prócz galerji obrazów nieocenionej wartości, godny widzenia jest zbiór medalów i monet.

Między innemi zwracają także uwagę wykopaliska z Herkulanum i Pompei, porcelany japońskie, naczynia etruskie, liczne słowiańskie urny i ozdoby.

Wpośród tylu rzadkich i pięknych przedmiotów miłą dla potomków pamiątką jest przechowany tu pałasz po starszym przodku tej rodziny, hetmanie Tarnowskim; na główni krzywej prócz herbu, wyryty rok 1507, a z drugiej strony wiersz:

Kiedy król Zygmunt w Polsce panował
Tarnowski hetman tą szablą wojował.

MEDYKA.

Było to w pogodnym dniu lata. Wyjechałem rannym pociągiem kolei żelaznej ze Lwowa. Pola przez które przelatywaliśmy szybko, perliły się w pogodnem słońcu poranną rosą, orzeźwiającą powietrze. Z komina lokomotywy buchał gęstemi kłębami dym i unosząc się w powietrze tworzył niby

obłoki, rysujące się rozmaitemi kształtami na tle widnokręgu. Minęliśmy Gródek, oblany szerokiem zwierciadłem stawu, Sądową Wisznię i Mościska, aż niebawem obudził mię z zadumania, w które mię widok miejsc tych pogrążył, głos mego sąsiada:

— Otoż i Medyka!

Spojrzałem na prawo — Na rozległej zielonej równinie niby ciemnozielone wielkie bukiety, obaczyłem gęste klomby drzew rysujące się opodal, a z pomiędzy nich przebłyskiwały białe mury zabudowań, na wpół przesłonionych drzewami.

Widok ten przeniósł myśl moją w daleką przeszłość.

Do znakomitszych miejsc w kraju naszym należy Medyka położona o milę od Przemyśla. Z dawnych jeszcze czasów smutną pamiątką oznaczone to miejsce. Medyka słynęła przed wieki jak i dzisiaj pięknem swem położeniem, była własnością możnej rodziny Granowskich, z którego to domu pojął Władysław Jagiełło trzecią swą żonę. Jak wiekopomnej pamięci król ten nie tylko był dzielnym wojownikiem, lecz oraz miał uczucia tkliwe na wdzięki przyrody, świadczy miła acz smutna pamiątka przywiązana do miejsc tych.

W póżnym już będąc wieku jechał król do Lwowa i dla wypoczynku w drodze zatrzymał się w Medyce. W cienistym ogrodzie mnóstwo spiewało słowików, Jagiełło przysłuchiwał im się z lubością, póżno w noc przebywając w pięknych gajach medyckich, mimo chłodu i podeszłego już wieku. Z czego zachorował i umarł w Gródku, nie mogąc już dojechać do Lwowa.

Odtąd Medyka rozliczne przeszła koleje — ojciec dzisiejszego jej dziedzica ś. p. Gwalbert Pawlikowski, zamiłowany w naukach i zabytkach przeszłości, nie szczędził kosztów i starań aby majętność tę najpierw ozdobić, a następnie uposażyć rzadkiemi i znakomitemi zbiorami naukowemi. Bogata książni-

ca, zbiór rycin jedyny może w tym rodzaju, cenne rękopisma ozdobiły pałac Medyki, na chlubę właściciela, który majątku na fraszki nie zmarnował za granicą, ale gromadził zabytki drogiej nam przeszłości dla pożytku i nauki współczesnych.

Dzisiaj zbiory te pomieszczone są tymczasowo we Lwowie. Przystęp do nich gościnnie ułatwiony dla zwiedzających i chciwych oświaty. Z czasem mają one być znowu przeniesione do Medyki i tam uporządkowane, skoro ukończony będzie dom przeznaczony na ich pomieszczenie. Kolej żelazna ułatwi uczonym i lubownikom możność korzystania z tych skarbów naukowych, gdy zostaną wywiezione ze Lwowa.

Bibljoteka Medycka po bibliotece Zakładu nar. im. Ossolińskich i Dzikowskiej jest najznakomitsza w kraju. Równej też sławy używa i ogród w Medyce, lubo dziś znacznie zaniedbany. W licznych cieplarniach tutejszych przechowują się najrzadsze rośliny południowe, jako to palmy, aloesy, kamelje itp. Najśliczniejsze kwiaty, zagraniczne krzewy i drzewa nie tylko upiększają ogród, ale są również zajmującym przedmiotem dla botanika. Z ogrodu Medyckiego rozsyłano niegdyś, a nawet i dziś jeszcze, krzewy i kwiaty w dalekie strony do innych, mniej w takowe obfitujących, krajowych ogrodów.

Jeżeli będziecie kiedy w tych stronach, nie zapomnijcie zwiedzić Medyki. Trud ten opłaci się wam wielką przyjemnością. I my tak uczyniliśmy. Wysiadłszy w dworcu kolei żelaznej, wraz z moimi towarzyszami podróży, udaliśmy się do ogrodu, dokąd przystęp wszystkim zwiedzającym gościnnie otwarty. Wieczorem dopiero, po dniu bardzo mile spędzonym, pojechaliśmy dalej do Przemyśla.

Przyjaciel dzieci wychodzi dnia 1 i 15 każdego miesiąca. Przedpłata w miejscu wynosi rocznie 4 Złr. 40 cnt. w a., półrocznie 2 Złr. 20 cnt. w a Z przesyłką pocztową rocznie 5 Złr. w. a. półrocznie 2 Złr. 50 cnt. w. a. W W. X. Poznańskiem rocznie 3 talary pruskie. Przedpłatę miejscową przyjmuje księgarnia p. Karola Wilda. Przedpłatę pocztową (*także z W. X. Poznańskiego*) należy przysyłać **franco** wprost: *Do redakcji Przyjaciela dzieci, we Lwowie w rynku pod l. 51.*

Redaktorka odpowiedzialna Aniela Zawadzka. Drukiem K. Pillera 1864